

AUTOBIOGRAFIA

Urodziłam się w malutkiej wiosce, na północy Kazachstanu, znajdującej się w pobliżu jednego zimnego jeziora. Z okien domku, gdzie mieszkali moi rodzice można było podziwiać piękny widok gór, chociaż ten widok akurat bardzo przygnębiał wtedy moją mamę, która czuła się samotnie z dala od swojego rodzinnego domu. Na dodatek, tata ciągle w pracy, wracał bardzo późno, więc mama w stanie błogosławionym ze mną i z małym dzieckiem (moją starszą siostrą Alą) nie czuła się dobrze przez pewien okres.

Sąsiedzi byli bardzo sympatyczni jak mówiła moja mama: młode małżeństwo z dwójką trochę starszych dzieci. Moja mama i sąsiadka próbowały w tych codziennych obowiązkach znaleźć czas dla siebie, więc zostawiały dzieci mnie i moją siostrę pod opieką dwójki dzieci sąsiedzkich, a same biegły nad zimne jezioro wykąpać się.

Znam takie szczegóły, gdyż „dzięki gapiostwu urzędnika i mojego ukochanego taty” udało mi się poznać tą sąsiadkę osobiście i zwiedzić moje rodzinne okolice i posłuchać tych „opowieści”. A mianowicie, kiedy się urodziłam, tata cały w skowronkach poleciał załatwiać niezbędne formalności związane z moimi narodzinami – akt urodzenia. Pani urzędniczka wpisała jako datę mojego urodzenia o rok później niż należało, czyli wpisała dokładną datę mojego urodzenia na przyszłość tak jakby była prorokiem, a na dodatek niewiadomo z jakiego powodu miejscowość również została wpisana niewłaściwa. Właściwie, jeżeli chodzi o datę urodzenia, to wołałabym teraz, z perspektywy czasu, nie poprawiać jej – byłabym o rok młodsza!!!

Wobec tego kiedy skończyłam 16 lat, wybraliśmy się razem z rodzicami do mojej rodzinnej miejscowości „naprawić” ten błąd. O dziwo, sąsiedzi nadal mieszkali w tej samej miejscowości w tym samym domku. Pamiętam że sąsiadka zaprowadziła mnie do mieszkania obok (gdzie kiedyś mieszkałam z moimi rodzicami) i na „żywo” zobaczyłam widok „okrutnych”, jak mówi mama, gór i zimne jezioro, i dzieci, już wtedy dorosłe” sąsiadki.

Może jestem przesądna odrobinę, ale od urodzenia coś zawsze działo się w moim życiu ciekawego, jak na przykład pomyłka w akcie urodzenia. Gdzieś tam podświadomie czułam że moje życie nie będzie „łatwe” i nudne.

Wracając do mojego aktu urodzenia – nie udało się nam wtedy naprawić wszystkich błędów. Został poprawiony jedynie rok urodzenia....

W tej małej miejscowości mieszkaliśmy krótko, kiedy skończyłam 2 miesiące rodzice przenieśli się do niedużego miasteczka na północy Kazachstanu, a właściwie to tacie zaproponowali do wyboru 3 miejscowości z ofertami pracy (wtedy osoby po ukończeniu

studiów kierowali do wykonywania konkretnej pracy ale można było wybrać miejscowość). A więc rodzice wybrali nieduże 16 tysięczne miasteczko. Rodzice przeprowadzali się do różnych mieszkań - w tamtym mieście - dziewięciokrotnie. Aż wreszcie pojawiła się okazja i rodzice dostali połowę domku, drugą połowę dzieliliśmy z naszymi sąsiadami – Niemcami. Po drugiej stronie naszego domku mieszkali sąsiedzi – Polacy. Domek znajdował się prawie na końcu miasteczka – w dzielnicy o nazwie „Zabolotje” tj. za bagnem. Ponieważ obok naszych domów było dość spore jezioro – nazywaliśmy go „kotlewan”. To jezioro było wypełnione wodą, niestety była bardzo brudna. Latem była tam wylęgarnia ptactwa domowego i nie tylko, ale głównie kaczek, gęsi. Ta nazwa dzielnicy pewnie powstała od naszego jeziora – bagna, które nigdy nie było oczyszczane, a ze względu na jego mieszkańców – ptactwo, jezioro delikatnie mówiąc cuchnęło.

Natomiast w zimie, nasze jezioro było bardzo pożyteczne. Zima w północnej części Kazachstanu była bardzo sroga, średnia temperatura to -35 stopni C. Wobec tego woda w jezioro bardzo szybko zamarzała i jezioro służyło nam jako duże lodowisko, można było zjeżdżać na saniach albo jeździć na łyżwach lub nartach – to była wielka frajda dla nas.

Dookoła miasteczka rozprzestrzeniał się step – kiedy ja byłam mała i tam mieszkałam, to trawa w stepie była dość uboga, w lecie bardziej wypalona, gdzie nigdzie można było spotkać cudne polne kwiatuszki. Natomiast, mama moja pamiętam opowiadała, jak w jej dzieciństwie wyglądał step – trawa po pas wysoka, mnóstwo polnych kwiatów, i te zapachy. Ja zastałam już step raczej jako uprawne pola: pszenicy, gryki, żyta, kukurydzy. To były też niepowtarzalne widoki i zapachy. Kiedy stałam w stepie wydawało mi się że step ciągnie się do końca świata, i ta przestrzeń niesamowita – tak przyjemnie było patrzeć i oddychać pełną piersią... Jesienią zaś chodziliśmy w stepie zbierać pieczarki, które rosły tam całymi rodzinami w kształcie dość sporych krążków. W zimie nie sposób było spacerować po stepie, bo zawsze spadało tyle śniegu że często ciężko było z własnego podwórka się wydostać. W małych miejscowościach – wioskach zimą śniegu było po same dachy i ludzie, doskonale orientując się w swojej miejscowości, chodzili do siebie w tym okresie po dachach!!! Wiosna była przepiękna, robiło się cieplej po woli tylko -25 stopni, z dachów kapało, ptaszki ćwierkali i gdzieś w połowie maja zaczynały pojawiać się powolutku młode listki na drzewach. Niestety ze względu na tak surowy klimat rosły tam wyłącznie topola, klony i akacje, ale po tak długiej z reguły 6 miesięcznej zimie te drzewa były dla nas takie piękne!

W tym miasteczku mieszkali ludzie różnych narodowości, tak jak w większej części Kazachstanu: Niemcy, Polacy, Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie. Ludzi Kazachskiej

narodowości było bardzo mało, 2-3 rodziny w całym miasteczku, więcej było przyjezdnych Gruzinów, Ormian i Azerbejdżan. Natomiast, nikt nie skupiał się wtedy nad tematem – narodowościowym. W szkole w mojej klasie w ogóle nie było dzieci Kazachów, większość to byli Niemcy, Polacy i Rosjanie.

Nasi sąsiedzi – mieszkaliśmy po sąsiedzku chyba około 15 lat, byli – Niemcami. Mieli 3 synów i jedną córkę. Zawsze pomocni i życzliwi. My przychodziliśmy do nich oni do nas – tak po prostu pogadać albo w jakieś potrzebie. Wspominałam czasy!! Nasi sąsiedzi byli baptystami, niedaleko naszego domu, a dokładnie po drugiej stronie „naszego jeziora” znajdował się ich „dom modlitewny” gdzie co tydzień uczęszczali.

W naszym mieście była również cerkiew, meczet. Dla katolików był polsko-niemiecki dom, gdzie odbywały się msze w języku polskim i niemieckim.

W moim domu tylko babcia (która mieszkała wtedy z nami) miała modlitewnik (jeszcze z czasów zesłania) w języku polskim, nauczyła mnie i moje siostry modlić się po polsku chociaż wtedy jeszcze nie rozumiałam wiele z tej modlitwy – to jedyna rzecz z „Polskości” która u nas była. Kiedy pytałam babcię żeby opowiedziała o jej przesiedleniu na Syberię do Kazachstanu, to ona starała się unikać tego tematu. Mówiła jedynie, że przyszli w nocy ludzie, kazali zabrać podręczne rzeczy, później wsadzili ich do pociągów towarowych i pojechali do Kazachstanu. Podróż trwała 40 dni. Kiedy pociąg dotarł na miejsce – oni wysiedli z pociągu w szczerym polu – dookoła tylko step, jesień zimno. Kazali im ryć w ziemi dołki – tzw. „ziemianki” to miałyby być ich mieszkania, postawili kołek – słupek drewniany i nadali numer np. 3 to była nazwa przyszłej miejscowości – wioski. Tak powstawały małe miejscowości, a z czasem i miasteczka. Więcej odpowiadać babcia nie chciała mówiła, że się obawia o swoje życie i całej rodziny „Nuż „ktoś” znowu przyjdzie w nocy i znowu nam każą gdzieś jechać”. Również jak pytaliśmy coś o język polski, czy cokolwiek może powiedzieć? Babcia mówiła, że jak ich przywieźli do Kazachstanu, zabronili mówić w języku polskim, nikt nie miał żadnych książek w języku polskim, często w rodzinach zabraniano nadawać dzieciom imiona polskie albo nazwiska polskie z końcówką „a” kazali zmieniać na „aja” – tzw. rusyfikacja! Wobec tego w rodzinach raczej mówiło się po rosyjsku i po ukraińsku (gdyż wysiedlali ich w 1936 r. z obecnych już wtedy ziem Ukraińskich), albo mieszaniną ukraińsko-rosyjską. A więc ani moi rodzice ani ja nie mówiliśmy po polsku – ani nie było również możliwości uczyć się tam polskiego: nie było książek, języka polskiego nie uczono również w szkołach jako języka obcego, jak to było w przypadku języka niemieckiego.

Przyszedł rok 1991, a razem z nim wielkie zmiany polityczno-społeczne całego ZSSR, wielki rozpad. Nagle każda z republik wchodzących w skład Związku Radzieckiego zbuntowała się i zapragnęła niezależności, mieszkańcy poszczególnych republik poczuli wielki patriotyzm i dumę „narodowościową” – to ich państwo. W przypadku Kazachstanu to była dość specyficzna sytuacja, gdyż ludność narodowości Kazachskiej zamieszkująca w Kazachstanie stanowiła tylko 13%, a pozostała część ludności – w przeważającej większości to słowianie, Niemcy, ewentualnie ludzie Kaukaskiej narodowości. Można by było wiele opisywać na temat tej powstałej sytuacji ale skupię się na mojej autobiografii.

Po rozpadzie związku radzieckiego, w Kazachstanie dość dziwne rzeczy zaczęły się dziać: nagle w domach zabrakło, światła (wyłączali prąd), w sklepach zniknęły wszystkie produkty oprócz ciemnego makaronu i octu, pojawiły się kartki na większość produktów, a największą popularnością cieszyły się wódka i cukier. Rozpoczęły się wielkie przesiedlenia, ale tym razem z Kazachstanu do Niemiec - Niemców, później Rosjan do Rosji, ewentualnie do Niemiec, oraz jako ostatni Polaków – do Polski. Atmosfera panująca w Kazachstanie była nie do zniesienia, wyraźny nacjonalizm: w ciągu kilku dosłownie dni została zmieniona waluta z rosyjskiego rubla na kazachską tenge (ludzie stracili mnóstwo pieniędzy), wprowadzono język kazachski, jako obowiązkowy, w szkołach, w instytucjach publicznych, studia i praca dla narodowości niekazachskiej nagle zaczęła być nierealnym i nieosiągalnym luksusem. Niemcy i Polacy zaczęli mówić: „Trzeba jechać do „swoich” nic tu po nas”.

Do Kazachstanu zaczęły przyjeżdżać „ochotnicy” – nauczyciele z Polski, żeby uczyć polskiego dzieci narodowości polskiej. Pojawiła się również możliwość dostania się na studia do Polski – raz do roku czerwiec – lipiec organizowane były egzaminy, a egzaminatorami byli profesorowie z Polski. Właśnie z tej okazji również skorzystałam i ja – dostałam się na studia. Wiadomość ta najbardziej ucieszyła tatę – pragnął żeby chociażby jedna z jego córek wyjechała do Polski. Tata był człowiekiem mądrym, czytany, za długo przed rozpadem ZSSR mówił że nie będzie w Kazachstanie miejsca dla innych narodowości niż Kazachowie.

Kiedy wracałam pociągiem z Astany (gdzie zdawałam egzaminy na studia do Polski) – dotrało do mnie nagle co zrobiłam – z jednej strony bardzo się cieszyłam że jadę i zobaczę inny świat, poznam nowych ludzi a z drugiej strony – świadomość że wyjeżdżam ponad 5 tysięcy kilometrów od moim ukochanych rodziców i domu była bardzo przerażająca.

Mimo wszystko, pod koniec sierpnia otrzymałam list z informacją potwierdzającą przyjęcie mnie na studia i skierowaniem mnie na pierwszy rok przygotowujący do studiów do Lublina. Umówiłam się z koleżanką z mojego miasta że pojedziemy razem pod koniec sierpnia do Polski (ona już rok studiowała w Polsce w Bydgoszczy). Razem dojechaliśmy do

Warszawy, koleżanka przesiadła się do pociągu jadącego w kierunku Bydgoszczy a ja czekałam jeszcze na dworcu centralnym w Warszawie na swój pociąg do Lublina. Miałam już zakupiony bilet (koleżanka pomogła), ale tu zaczęły się pierwsze schody.... Głos na dworcu mówi – wydaje się logicznie coś o pociągach tylko czy to o odjeżdżających czy o przyjeżdżających i jakim kierunku – nic nie rozumiałam jedynie co usłyszałam – „szuszcz”. Ogarnęło mnie takie przerażenie – myślę „nie dojadę do Lublina!” Ale twardo idę w kierunku peronów – pytam pierwszego spotkanego mężczyznę – po rosyjsku -że chce dojechać do Lublina i pokazuję mu bilet – całe szczęście jakoś na „migach” dogadaliśmy się i udało się – wsiadłam w dobrym kierunku i dojechałam.

Szybko taksówką dotarłam do akademika. Na zewnątrz wydawał się bardzo sympatyczny budynek. Od razu na sercu lżej. Po wejściu do budynku jakaś Pani na portiernie dała mi klucze i poprowadziła do pokoju w którym miałam mieszkać.

Weszłam do pokoju, był duży – ale trochę ponury i zobaczyłam te wielkie okropne kraty na oknach! Zachciało mi się wyć! Były takie przygnębiające!

Wkrótce do mojego pokoju zakwaterowano 3 inne dziewczyny 2 z Ukrainy i 1 z Estonii. Wydawałoby się że wszystko powinno powoli układać się. Nie mogłam przestawić się do zmiany czasu , nie mogłam spać w nocy i te kraty.....

Po 3 dniach mnie i jeszcze ośmioro osób z akademika wezwano do dyrektora i poinformowano nas, że komisja egzaminacyjna pomylił się i zamiast do Wrocławia skierowano nas do Lublina. Wobec tego, spakowaliśmy się i tego samego wieczoru wyruszyliśmy do Wrocławia. Jechaliśmy całą noc, zmęczeni, ja już nie miałam pieniędzy – bo całe pieniądze – 50 dolarów – wydałam na bilety i drobne zakupy.

Do Wrocławia przyjechaliśmy rano o g. 6 było bardzo ciepłutko i przytulnie. Nie miałam siły ciągnąć moje walizki po peronie – chcieliśmy wyjść przed dworzec złapać taryfę. Pewnie niesamowite zmęczenie było „wymalowane” na mojej twarzy – jakiś chłopak: wysoki, z długimi ciemnymi włosami podszedł do mnie coś powiedział – oczywiście nie rozumiałam go – wziął walizkę i poszedł – ja nawet nie zdążyłam nic powiedzieć ani krzyknąć – po prostu poszłam zanim. Ten chłopak w pewnym momencie zniknął z pola widzenia- pomyślałam – ukradł moją walizkę, ale byłam tak zmęczona że było mi już wszystko jedno. Bardzo mile byłam zaskoczona gdy wyszliśmy przed dworzec i zobaczyłam tam tego chłopaka z moją walizką, powiedziałam tylko „dziękuję bardzo” – bo tą zwrotkę miałam wyuczoną na pamięć i nie wstydziłam się powiedzieć- on też mi coś szepnął dla mnie niezrozumiale i po prostu odszedł. Pomyślałam wtedy – boże w jaki cudowny kraj ja przyjechałam – ludzie są mili i bezinteresowni i nie kradną. Będzie dobrze!

Pomyślałam że mogę przenieść góry, tyle możliwości mam w Polsce, tyle spraw mogę załatwić!

Dotarliśmy najpierw do Studium języków obcych gdzie miałam mieć przez rok zajęcia a później do akademika. Z Lublina jechały ze mną 2 dziewczyny które miały takie same imiona jak ja, bardzo sympatyczne ale stojąc w akademiku postanowiłyśmy że nie chcemy mieszkać w 1 pokoju – lepiej z polkami z Polski – żeby szybciej nauczyć się języka polskiego. Niestety kierowniczka akademika przyszła do nas i poinformowała że może nas we trzy zakwaterować w jednym pokoju, gdyż polki z Polski nie chcą mieszkać z Rosjankami....

Miny nam zrzedły. Nie wiedziałyśmy co o tym myśleć – czy mamy na czole wypisać że jesteśmy też polkami tylko wnukami zesłanych dziadków – Polaków. No cóż – zamieszkałyśmy razem. Bardzo miło wspominam ten pierwszy rok i wspólne życie, jedynym minusem było to że nie nauczyłyśmy się szybko i poprawnie mówić po polsku – podejmowałyśmy próby mówienia w pokoju tylko po polsku – ale popełniałyśmy takie same błędy i rozmowy nasze niestety ograniczały się tylko do kilku wyrazów prostych bo złożone zdania nie było komu nam podpowiedzieć. Z czasem zaprzyjaźniłyśmy się z „innymi” polakami z Polski – wspaniali i sympatyczni ludzie.

Pierwszy rok w Studium języków obcych gdzie mieliśmy się uczyć m.in. polskiego był niezły – niestety znowu nie mieliśmy szczęścia do Pani od polskiego. Miała ona zwyczaj rozpoczynać zajęcia od dość długiej przemowy : „po co tu przyjechaliście?, tu w Polsce wcale nie jest miód, ciężko pracę dostać , niewiele pewnie z was w ogóle ukończy jakiegokolwiek studia”. To z pewnością nie było łatwe i podbudowujące. Natomiast, mieliśmy jeszcze inne przedmioty : historia i kultura i sztuka starożytna, które prowadzili świetni wykładowcy, inteligentni i dobrzy ludzie – i dzięki nim było nam z pewnością łatwiej wytrwać pierwszy rok w dali od domu i bliskich.

Na pierwsze w Polsce święta Bożego Narodzenia w 10 piętrowym budynku akademika zostałyśmy ja i moja koleżanka z pokoju do której przyjechała siostra (studiująca i mieszkająca wtedy we Wrocławiu od roku). Jak trzy sierotki, coś tam przygotowałyśmy do jedzenia, zadzwoniłyśmy do swoich rodzin do Kazachstanu , popłakałyśmy trochę i poszłyśmy do kościoła akademickiego znajdującego się tuż przy akademiku. NA mszy zobaczył nas młody ksiądz (poznaliśmy się kiedy zamieszkaliśmy w akademiku – na jego msze zbierały się tłumy studentów). Pamiętam jego oczy jak popatrzył wtedy na nas. Po mszy zabrał nas do zakrystii – razem z 2 innymi księżmi oglądaliśmy „Skrzypka na dachu” , jedliśmy ciasteczka, a księża opowiadali nam różne historyjki , próbując nas rozweselić, aby odgonić od nas tęsknotę za naszymi rodzinami.

Przez 3 miesiące pobytu w Polsce płakałam codziennie i pakowałam walizkę, nie mogłam się odnaleźć w nowej rzeczywistości, nie było wiele znajomych. Na dodatek pewne niemiłe wydarzenia które mnie spotkały, wcale nie pomagały mi w adoptowaniu się w nowym środowisku. Takich przykrych sytuacji było niewiele, ale dla obcokrajowca nawet małe wydarzenie – jest ogromnym przeżyciem i wielkim rozczarowaniem! Pamiętam taką sytuację. Byłam około 2 tygodni jak przyjechałam do Wrocławia, poszłam po chlebek, niedaleko akademika stała budka z pieczywem do której codziennie ustawiała się długa kolejka. Ja również ustawiłam się w tej kolejce, już byłam bardzo blisko kasy, i stojąc byłam świadkiem rozmowy pewnej starszej kobiety która stała przede mną w kolejce a Panią sprzedawczynią. Kobiety te rozmawiały coś o historii i że taka kolejka po chleb jak podczas stanu wojennego, na co sprzedawczyni, trzymając tasak którym kroić chleb na połówki, powiedziała: „Gdybym zobaczyłam teraz Rosjanina normalnie zabiłabym go i zamachnęła się nożem, bo jej dziadka podczas wojny Rosjanie zamordowali”. I tyle w jej oczach było nienawiści! Przestraszyłam się, gdyż nie mówiłam po polsku dobrze i miałam akcent rosyjski, od razu wyszłam z kolejki tej i więcej już nie chodziłam do takich punktów robić zakupy, lecz do Samów – gdzie można było samemu wybrać potrzebne produkty.

Miałam jeszcze taką niemiłą sytuację na studiach. Byłam na 2 roku studiów, i zdając pewien egzamin, profesor, około 60 lat, po tym jak odpowiedziałam na wylosowany zestaw pytań, powiedział że nie postawi jeszcze mi oceny za egzamin gdyż bardzo zaciągam (bardziej po rosyjsku) polskie litery „ę” i „ą” . Ostatecznie egzamin zdałam za dziewiątym podejściem.

Opisywałam takie niemiłe wspomnienia bo bardzo wpłynęły na mnie w tym moim początkowym pobycie w Polsce. Natomiast nie mogę nie wspomnieć i o dobrych sytuacjach tamtego życia.

Będąc na pierwszym roku studiów, tak jak wspomniałam mój polski był bardzo słabutki, ale przygotowywałam się do kartkówki z pewnego przedmiotu na studiach. Nie chwalać się jako jedyna, z trójki obcokrajowców na roku, nie zrezygnowałam z jej napisania, i nie prosiłam wykładowcy o ustne zaliczenie, napisałam jak mogłam – więcej po rosyjsku niż po polsku. Wykładowca ogłaszając wyniki jednakże bardzo to docenił – jego komentarz był taki: „Co prawda co nieco pamięta z lekcji języka rosyjskiego ale niewiele, natomiast ogólnie za odwagę i że pisałam na temat to daje mi 4”. Byłam bardzo z siebie dumna wtedy.

Ponieważ przyjechałam do Polski sama, a w Rosji została moja starsza siostra która jednak nie zdecydowała się zdawać do Polski, bardzo chciałam jej pomóc. Postanowiłam że muszę ją sprowadzić tu do Polski (siostra miała wiek uniemożliwiający jej zdanie egzaminów

z Kazachstanu). Pewnego dnia, będąca na pierwszym roku Studium języków obcych i spacerując na przerwie koło studium, natknęłam się na dziekanat wydziału Farmacja Akademii Medycznej we Wrocławiu. Ponieważ moja starsza siostra skończyła w Rosji college medyczny z wyróżnieniem, i chciałaby dalej studiować w tym kierunku, pomyślałam że to jakiś znak i trzeba pójść i zapytać czy jest miejsce dla studenta na zasadzie wymiany pomiędzy uczelniami. Oczywiście od razu z marszu weszłam do dziekanatu, dosłownie po 10 minutach przyszedł Pan Dziekan. Rozmowa była bardzo dziwna. Powiedziałam dziekanowi że chce aby moja siostra studiowała na akademii medycznej farmację, siostra nie zna języka, teraz jest w Rosji ale mogłaby przyjechać już w wakacje do Polski poduczyć się polskiego przez okres wakacji i od października rozpocząć naukę. Pan dziekan roześmiał się patrzył na mnie – dosłownie jak na wariatkę – ale po chwili – chyba zobaczył na mojej twarzy że to jest szczerze i ja wcale nie żartuję – powiedział ok., on zgadza się, zbierze się komisja kwalifikacyjna żeby „przesłuchać” moją siostrę, ale sprawy stypendium i akademika zostawia mi. I jeszcze dodał: „Wie Pani, ja jestem bardzo ciekaw czy Pani blefuje czy rzeczywiście Pani siostra jest zdolną osobą i poradzi sobie na studiach i bardzo chcę przekonać się, niech Pani siostra napisze podanie o przyjęcie na studia!”. Byłam bardzo pozytywnie zaskoczona i szczęśliwa, gotowa byłam rozcałować Pana dziekana, ale nie wypadało, grzecznie podziękowałam i wyszłam. Drugiego dnia znowu pojawiłam się w dziekanacie – weszłam do gabinetu Pana dziekana i podałam mu podanie o przyjęcie mojej siostry na studia. Pan dziekan srogo popatrzył na mnie i dosłownie ryknął: „Co to”? „Od kiedy to Pani fałszuje dokumenty ? przyniosła Pani podanie ale nie podpisała się pod nim siostra tylko Pani!”. I wtedy powiedziałam Panu dziekanowi, owszem to ja napisałam i podpisałam się, bo nierealnym jest żeby w ciągu 3 miesięcy dotarło moje pismo do siostry i z powrotem siostry podanie do mnie, gdyż listy ze wschodu bardzo długo idą, a często wręcz giną. I ku mojemu zaskoczeniu Pan dziekan podpisał natychmiast to podanie. Następnie z osobą odpowiedzialną w dziekanacie za akademiki – porozmawiałam o miejscu w akademiku dla mojej siostry, i również w krótkim czasie została sprawa załatwiona. Wtedy pomyślałam jacy fajni tu ludzie, tyle możliwości dają młodym ludziom, tylko nie trzeba się bać i dużo pracować dużo dawać od siebie. W październiku, wraz z moją siostrą przyszedłam do dziekanatu, powiedziałam siostrze że bardzo dobrze by było wstąpić do Pana dziekana i najzwyczajniej w świecie podziękować mu. Zjawiłyśmy się u Pana dziekana, i pierwsze co usłyszałyśmy – „ nu nareszcie widzę Pani siostrę a nie tylko Panią”! Dziękuję bogu że stawiał na mojej drodze takich ludzi!

Bardzo dobre wspomnienia mam również z okresu studiów, kiedy zupełnie przypadkiem poznałam osobę na wysokim stanowisku, która pomagała mi – przesyłając książki (wypożyczone na jej nazwisko z czytelnicy w jej firmie) potrzebne mi na studiach, które oddawałam z powrotem po zdanych egzaminach, dzięki temu mogłam zaoszczędzić dużo pieniędzy. Później na prośbę tej osoby, jej kuzynka wraz z rodziną „opiekowali” się nami – zapraszali nas na święta, próbowali nam stworzyć takie ciepłe i rodzinne warunki w obcym dla nas kraju.

Te wszystkie wspomnienia i złe i bardzo miłe są dobre, w jakiś sposób wzmacniały mnie, dodawały siły jednak do dalszych działań. W trakcie studiów pracowałam również oczywiście „na czarno” na myjni ręcznej samochodowej. Miałam śmieszny żółty jak kurczak kombinezon. Pracowałam ciężko, często po 12 godzin, ale miałam wtedy cel – sprowadzić rodzinę do Polski. Bardzo miło również wspominam mojego pracodawcę – to była rodzina św. Jechowych, mili ludzie, ciężko było dostać pracę obcokrajowcom, oni dali mi szansę i bardzo im za to byłam wdzięczna. Po czterech latach „biegania” po urzędach i pomocy wielu urzędników, udało się, ale do Polski już niestety przyjechała tylko moja mama, tata 6 miesięcy przed uzyskaniem ostatecznej decyzji o przyjeździe zmarł i został pochowany w Kazachstanie...

Urodziłam się i mieszkałam w Kazachstanie przez 20 lat i to były piękne lata mojego dzieciństwa które na zawsze będą w pamięci we mnie z sentymentem wspominane. Natomiast mieszkam w Polsce, tu ułożyłam już sobie życie i na pół ale czuję się w tej połowie zadowolonym i cieszącym się życie obywatelem Polski.

Tatiana